

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Irlandzka rewolucjonistka o polskim nazwisku

ANGIELSKA SZLACHCIANKA

Anglicy twierdzą od niepamiętnych czasów, że ich najzacieklejszymi wrogami na terenie Irlandji są ci rodacy, którzy przeszli na stronę tubylców. Dodają, że narodowy ruch irlandzki nigdy nie był stał się groźny, gdyby nie ci właśnie wynarodowieni Anglicy. Irlandczyk jest mało poważny i mało wytrzymały, brak mu też talentu organizatorskiego. Dopiero jednostki, należące do rasy anglosaskiej, które poświęciły się sprawie Erynu, potrafiły poprowadzić go do zwycięstwa.

Nie będę tu rozpatrywał tej teorii. Za jej trafnością przemawiałaby postać Konstancji Markiewiczowej. Pochodziła ona ze szlacheckiej rodziny, zdawna osiadłej w irlandzkim hrabstwie Sligo i była córką Sir Henryka Gore-Booth, a przyszła na świat w pałacu na Carlton House Terrace, a więc w najdosłojniejszej dzielnicy Londynu, w pobliżu pałacu królewskiego. W 48 lat później miała powrócić do stolicy Anglii, przyjeżdżając na Euston Station pod opieką dwóch policjantek, a zdążając do więzienia w Aylesbury na dożywotni pobyt.

MAŁŻEŃSTWO

Młodość Konstancji upływała normalnie, jak młodość przeciętnej panny z wyższych sfer angielskiej średniej szlachty. Tylko odznaczała się ona już w tym okresie nieustraszoną odwagą, której dowody dawała jako amazonka, szczególnie przy polowaniu *par force*. Piękna, subtelna, pełna żywoci umysłu, wywierała na otoczenie niezwykły urok. Sławili ją obaj najwięksi poeci współczesnej Irlandji. William Butler Yeats i George William Russel, lepiej znany pod pseudonimem A. E., którego wiersz „Do Konstancji w celi więziennej” należy do jego najslawniejszych utworów.

Było w obejściu i pojęciach Konstancji Georginy Gore-Booth coś niekonwencjonalnego. Czula się ona źle w wykwintnych salonach Londynu. Minęła jej trzydziestka — a zamożna i przystojna panna jakoś nie wychodziła zamaż. Zaczęła interesować się sztuką. Studjowała malarstwo w Londynie, później wyjechała do Paryża — i tam spotkała polskiego hrabiego, Kazimierza Józefa Dunin Markiewicza. Młody człowiek był od niej o sześć lat młodszy, choć był już wdowcem i ojcem synka. Malował, pisał sztuki, ale w gruncie rzeczy był cyganem artystycznym i *bon vivant*em z demokratycznymi upodobaniami. Jak doszło do małżeństwa między tem dwojgiem, trudno powiedzieć. Konstancja nie raz później mawiała: „Nie wiem, dlaczego Kazimierz mnie poślubił”. Pewnego razu Markiewiczowi było tego za dużo — i odparł sucho: „On ciebie nie poślubił”. Najwidoczniej uważał, że zaszedł wypadek odwrotny.

KAZIMIERZ MARKIEWICZ

Być może, iż Konstancję pociągnął do Polaka jego beztroski humor i jego pogarda wszelkiej etykiety, Elegancki i oddany użyciu, czuł on się równie źle w salonach. W Dublinie żona, doznając coraz większych rozczarowań w pożyciu, zbliżała się coraz bardziej do nacjonalistów irlandzkich, z którymi stosunki za-

wiązała była już w Paryżu, i stawiała się coraz poważniejsza. Mąż obserwował irlandzką żywość umysłu, samochwalstwo i błagę, bawiąc się tem wszystkim. Yeats nazywał go barbarzyńcą. Wesoły Polak niewiele sobie z tego robił. Lubił chodzić po barach, gdzie nie gardził żadnem towarzystwem. Jego ulubionymi współbiesiadnikami byli polski krawiec i irlandzki cieśla. Z tem wszystkim imponował zawsze arystokratycznymi manierami.

Pisał również utwory dramatyczne, w których w pierwszych latach małżeństwa Konstancja grywała. Interesował się żywo teatrem i kusił o laury reżysera. Był zwolennikiem realizmu. Przy wystawieniu sztuki Galsworthy'ego *Siffide* (Bój), osnutej na strajku, użył jako statystów prawdziwych robotników z doków. Niestety i oni byli realistami. W wielkiej scenie zbiorowej połała się krew na scenie i później jeden z uczestników oświadczył: „Nic to nie szkodzi zostać aktorem na parę wieczorów, ale dalaibóg, nie dam się zabić za parę szylingów.”

REWOLUCJONISTKA I FILANTROPKA

Życie rodzinne mimo przyjsia na świat syna nie dawało Konstancji zadowolenia i z czasem przestała ona zupełnie troszczyć się o męża i dziecko. Absorbowała ją polityka. Nacjonalizm irlandzki szedł w parze z radykalizmem społecznym i hrabina współpracowała z grupą socjalistów Conolly'ego.

Czasy były burzliwe. Południowa, rolnicza celtycka i katolicka Irlandja coraz głośniej domagała się samorządu (*Home Rule*) i dzięki temu, że posłowie irlandzcy stanowili w Izbie Gmin języczek u wagi, miała duże szanse jego osiągnięcia. Lecz północna Irlandja, fabryczna, silnie skolonizowana przez Anglików, postanowiła się temu przeciwstawić i stworzyła silne formacje ochotnicze, gotowe do narzucenia południowi siłą swej woli. Wobec tego i na południu zaczęto tworzyć armię ochotniczą. Rząd angielski, skrupowany konstytucją, nie mógł rozbroić zupełnie ani jednej, ani drugiej strony. Zdarzały się starcia i zamachy, a wszyscy czuli, że powietrze jest pełne elektryczności i należy oczekiwać jeszcze silniejszych wstrząśnień. Anglicy szowiniści z Ulsteru oddali Irlandczykom przysługę swem nieprzejednaniem. Dostarczyli im pozoru do przygotowania zbrojnej walki o wolność.

P. Markiewiczowa brała we wszystkim żywy udział. Organizowała demonstracje i zamachy, agitowała, osobiście ćwiczyła skautów w strzelaniu, ażeby można ich było użyć w przyszłej walce. Czas wolny od tych zajęć poświęcała pracy społecznej. Nie należała do tych socjalistów, którzy swych hasel używają do politycznego wybicia się na wierzch. Odwiedzała najuboższe dzielnice Londynu, pielęgnowała chorych, gotowała obiad dla ubogich. Fundusze, zebrane na te cele, nie wystarczały, więc ustawicznie

dokładała ze swych coraz mniejszych dochodów.

KRWAWA WIELKANOC

Wojnie domowej między południem, a północą Irlandji zapobiegł wybuch innej, większej wojny. Ochotnicy ulsterscy poszli na pola Francji. Irlandczycy natomiast zaczęli myśleć o powstaniu przeciw W. Brytanji, wyteżającej wszelkie siły przeciw Niemcom.

Sir Roger Casement, dotychczas brytyjski urzędnik konsularny, podał z Nowego Yorku do Berlina, ażeby porozumieć się z tamtejszemi sferami rządowymi o pomoc dla przyszłego powstania. Niemcy skwapliwie pochwycili sposobność wywołania dywersji pod samym bokiem Anglii. Powodzenie ruchu otworzyłoby przed nimi możliwość usadowienia się w Irlandji i zrobienia z niej podstawy operacyjnej dla inwazji.

Wybuch miał nastąpić w poniedziałek Wielkanocy r. 1916. Ochotnicy irlandzcy otrzymali w rozkazie zapowiedź, że w ten dzień „odbędą się bardzo zajmujące ćwiczenia”. Atoli los nie sprzyjał przedsięwzięciu. Naładowany materjałem wojennym statek niemiecki wpadł w ręce angielskich okrętów, patrolujących wzdłuż wybrzeży Irlandji. Sir Roger Casement przybył osobno, łodzią podwodną, ale nie zdołał wylądować w oznaczonym miejscu. Dwa samochody, które po niego wysłano, wjechały w morze i zatoneły. Naczelnik powstania dostał się gdzieindziej na ląd — jedynie poto, aby zostać aresztowanym.

Zrażona temi wstępniemi niepowodzeniami, naczelną komenda ochotników irlandzkich odwołała pierwotne rozkazy, odkładając powstanie do sposobniejszej chwili. Lecz nie wszyscy usłuchali. Uderzono na słabą załogę angielską i opanowano główną pocztę, oraz szereg innych gmachów w centrum Dublinu. Pojawiły się jednak wnet nowe oddziały rządowe, zaopatrzone w artylerję i rozszalała nierówna walka uliczna.

P. Markiewiczowa należała do bezwzględnych zwolenników walki. Jeżeli jednak pada na nią część winy wywołania rozlewu krwi, to w okropnych dniach 24 do 29 kwietnia 1916 wykazała heroiczną odwagę i pogardę śmierci. — Wśród piekła ognia dział angielskich świeciła przykładem, strzelając i rzucając granaty ręczne, zagrzewając do oporu i kierując kontratakami. Prawdziwym cudem wyszła z boju żywa i bez rany, lecz wraz z innymi przywódcami powstania dostała się w ręce nieprzyjaciela, rozziątrzonego oporem, zresztą zdecydowanego bezwzględnie stłumić złowrogi ruch, który mógł mieć nieobliczalne następstwa.

Piętnastu przywódców rozstrzelano. Konstancję Markiewiczową skazano również na śmierć, jak brzmiał wyrok, „za wzięcie udziału w zbrojnym buncie i w wojnie przeciw Jego Królewskiej Mości”. Ze względu na pięć ułaskawiono dzielną kobietę — na dożywotnie więzienie. — Znosiła swój los z godnością i spokojnie.

W Aylesbury współwięźniowie otaczali ją sympatją, której dowodem może być następujący komiczny wypadek. Markiewiczowa poznała tam osławioną zbrodniarkę, zwaną *Chicago May*. Po latach spotkały się na publicznym koncercie w Filadelfji i May serdecznie przywitała się ze starą znajomą, co wywołało ogólną konsternację.

Podczas pobytu w Aylesbury doświadczyła Markiewiczowa pierwszego dowodu wdzięczności Irlandczyków. Demonstracyjnje wybrano ją posłanką do Izby Gmin (jako wogóle pierwszą kobietę).

KONIEC ŻYCIA

Podczas przesłuchania owych 15 nieszczęśliwych wódzów „powstania wielkanocnego”, jak do dziś dnia nazywają ten krwawy epizod, kilku z nich oświadczyło z całą otwartością, że nie wierzyli w powodzenie ruchu, ale traktowali go jako ofiarę dla przyszłości Irlandji. I nie pomylili się. W kilka lat potem ojczyzna ich uzyskała — co prawda po szeregu dalszych ofiar — już nie samorząd, ale prawie zupełną niezawisłość. Wówczas otworzyły się wrota więzień i przed skazańcami irlandzkimi, Konstancja Markiewiczowa odzyskała wolność.

Pozostała nadal niestrudzoną pracownicą społeczną. Gdy, licząc lat 59, zachorowała śmiertelnie, zaproszowała przeciw specjalnej opiece lekarskiej i kazała przewieźć się do szpitala dla ubogich, tam też umarła.

Mąż przeżył ją o lat pięć, które spędził w Polsce — również wyzwolonej.

DWA ŻYCIORYSY

Są dwie biografje Konstancji Markiewiczowej. Jedną, napisaną przez jej starą przyjaciółkę Miss Esterę Roper, wysłała jako wstęp do listów, pisanych z więzienia w Aylesbury do siostry Ewy. Autor nowej książki o p. Markiewiczowej, powieściopisarz Sean O'Faolain zarzuca swej poprzedniczce skłonność do zbytnej idealizacji. Sam idzie prawdopodobnie daleko w przeciwnym kierunku, powtarzając skrzętnie, cokolwiek ktoś powiedział niepoehlebnego o jej charakterze czy inteligencji. Oskarża wogóle szlachtę angielskiego pochodzenia, z której ona wyszła najwięksi rewolucjoniści irlandzcy. Powtarza za A. E. (Russellem) zdanie, że „była, jak dziecko, które wsadza w ziemię kwiaty bez korzonków, aby mieć gotowy ogródek”. Stwierdza, że ludność Dublinu czula w Markiewiczowej zawsze kogoś obcego i nierzaz z niej żartowała. Sądzi, że Markiewiczowa była bardziej irlandzką od Irlandczyków, że za dużo wierzyła temu co głosili, lecz w co oni sami nie wierzyli. Wyraża się też lekceważąco o jej inteligencji.

O'Faolain przyznaje natomiast swej bohaterce zapał, bezinteresowność, szczerość, odwagę i poświęcenie. Tych rysów jej charakteru nikt zresztą nie ośmielił się podawać w wątpliwość. O jej osobistym wdzięku była już mowa powyżej.

Być może, iż Konstancja Markiewiczowa mierzyła siły na zamiary i zbyt prędko chciała dojść do celu, nie liczyła się z praktycznymi względami i chłodną kalkulacją szans, nie dbała o ofiary. Ale też nie szczędziła i siebie samej, nie chowała się za drugich, owszem, szła w pierwszych szeregach walczących. Jeżeli zaś mamy sądzić postaci historyczne wedle wyniku ich działalności, to pamiętajmy, że Irlandja jest dziś wolna.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

W Kruszwicy nad Gopłem

Wolno wlokący się pociąg podmiejski wiezie mnie ku odległej o kilkanaście kilometrów od Inowrocławia stacyi. Wysiadam. Małeńkie zabudowania dworca niczem nie zdradzają przynależności do pierwszej stolicy Polski, prastarego grodu kujawskiego, Kruszwicy.

Owiane czarem legend i podań miasteczko, w którym przed laty tysiącami dokonywały się narodziny państwa polskiego, interesowało już przed wiekami naszych kronikarzy, a później historyków. Długosz wyjaśnia założenie Kruszwicy w ten sposób:

Popieł chcąc potomności zostawić pamiątkę panowania swego, na równinach daleki widok mających, nad jeziorami i bagnami nowy zamek z nowym miastem założył i nazwał Kruszwicą; do niej całe siedlisko przeniósł, robiąc z niej główną stolicę swego państwa. Skutkiem tego nowe miasto wypełniwszy się bez trudności mnóstwem kupców i obywateli, stało się sławnym i znakomitem, między ówczesnymi miastami polskimi.

Historja notuje, że prastary gród kujawski - wielkopolski Kruszwica, położony nad malowniczym jeziorem Gopłem, po raz pierwszy zapisany został na jej kartach w roku 1025. Wówczas to pierwszy władca Polski, Mieczysław I, założył w Kruszwicy Katedrę biskupią. Należy ona wraz z kościołami św. Wojciecha w Krakowie, Rotundą św. Feliksa i Adauktę na Wawelu, oraz katedrą w Gnieźnie, do najstarszych kościołów w Polsce.

Wiele burz dziejowych przeciągnęło nad Kruszwicą. Kiedy Prędzysław, książę czeski ogniem i mieczem pustoszył polskie ziemie, napadł w r. 1034 i na Kruszwicę. W pół wieku później Zbigniew, syn Władysława Hermana, z nieprawego łoża, wypędzony przez ojca, zbiegł do Kruszwicy i opanował zamek. Nadciągnęli ludzie królewscy. Zbigniew odważnie wyszedł ze swymi oddziałami przeciw nim. Zawiazała się krwawa potyczka nad Gopłem. Wojsko królewskie, przeważając liczebnie wpędziło stronników Zbigniewa do których należeli również mieszcianie kruszwicy do jeziora.

O potyczce tej piszą kronikarze, że prócz zasłanych trupami pól okolicznych, Gopło napełniło się martwymi ciałami, a woda, krwią zarumieniona, przez długi czas jeszcze zatrzymywała ryby. Zbigniew schronił się po przegranej bitwie na zamek, skąd wywieziony został przez zwycięzców do warowni w Sieciechowie i osadzony w jego podziemiach. Gniew królewski spadł również na mieszczan kruszwickich. Miasto wydane zostało na łup żołdactwu. Od tej pory Kruszwica zaczyna upadać. Mimo to samo miasto odgrywało jeszcze przez długi czas wielką rolę. Nie przedkrociło zapomnienia, że tutaj wstąpił na tron Piast, założyciel potężnej dynastji, że tutaj narodziło się przed wiekami państwo polskie. Toteż w podupadającym miasteczku odbywa się w r. 1149 wielki zjazd książąt, Bolesława Kędzierzawego, jego brata Mieczysława, Ottona II, Fryderika arcybiskupa magdeburzkiego i innych, celem zawarcia przymierza i zapewnienia sobie wzajemnej pomocy. Tutaj wreszcie w roku 1230 miał miejsce fakt historyczny, który zaciężył tak tragicznie nad dalszymi dziejami

Polski. W Kruszwicy bowiem Konrad I, książę Mazowsza i Kujaw, nadał powtórnie Krzyżakom ziemię Chełmińską.

Jeszcze Kazimierz Wielki przypomniał sobie Kruszwicę i zaopiekował się nią. Drewniany zamek kruszwicki zamienił na murowany. Niedługo potem, bo w połowie XV stulecia Kruszwica tak podupadła, że niczem nie różniła się od lichej wioski.

Osobną wzmianką należy się kruszwickiej kolegiacie, niegdyś katedrze biskupiej. Pierwszym pasterzem, zasiadającym na kruszwickiej stolicy biskupiej, był Włoch Lucidas, przysłany przez papieża Jana XIII, ostatnim zaś, dziesiątym z rzędu, Onoldus. On to w roku 1159 przenosi stolicę biskupią, z chylącej się ku ruinie Kruszwicy, do Włocławka. Z upadkiem miasta podupadała również dawna katedra.

Z początkiem XIX stulecia groziła kompletna ruina. Do jej restauracji przy

stąpili Niemcy, starając się oczywiście zetrzeć ze starodawnej świątyni wszelkie ślady historii. To też niewiele do dziś dnia pozostało w tym kościele z czasów dawnej świetności. Romańska chrzcielnica z XII wieku, cenne ornaty niemi damasceńskimi tkane, szereg starych tablic marmurowych, a na jednej z nich napis: „Przechodniu stań i zastanów się nad starodawnością i zmiennością rzeczy ludzkich. Tu spoczywają dwaj biskupi kruszwicy, Wincenty i Andrzej Rzymianin, pierwszy z nich czwarty z kolei biskup, w r. 1055, drugi z nich piąty z kolei biskup, w r. 1081, żyć przestali. Westchnij i powiedz sobie ileż to dowodów przemawia za starożytnością wiary katolickiej, ileż zabija naleciałości herezetyckie. Pomnik ten wystawił, miłością pobożną przejęty, ksiądz biskup włocławski i pomorski Wawrzyniec Gebicki w roku 1604“.

Dawniejsze swe znaczenia zawdzięcza Kruszwica położeniu nad jeziorem Gopłem, na którym rozwijała się pomyślnie żegluga handlowa. Wszystkie statki z Warty, Prosny, Neru, Widawki itd. płynące do Gdańska, tedy przeprawać się musiały. Zachowana do dziś dnia ośmioboczna baszta, słynna Mysa Wieża, resztką kruszwickiego zamku, spełniała według niektórych, rolę latarni orientacyjnej dla żeglarzy. Gdy zaś skutkiem fizycznych przemian — pisał Szajnocha — zmieniła się i zerwała wodnych ścieżek siatka, nie było potrzeby nawet wojen i nieprzyjaćielskiej pożogi, a upaść musiała Kruszwica, bo inne warunki gospodarstwa narodowego gdzieindziej stołecznego punktu szukać kazaly.

Dzisiaj samotne to miasteczko, — czące około 5 tysięcy mieszkańców, z którego ongiś wypłynęła, na burzliwe fale historii, łódź dziejów naszych, jest celem licznych wycieczek, zwłaszcza młodzieży szkolnej. Zwiedzają one sławną kolegiatę, a dalej Mysia Wieżę, skąd rozpościera się przepiękny widok na miasto i okolice.

ak.

Zapomniane cmentarze lwowskie

Dzień Zaduszny, święto zmarłych, najsmutniejsze święto w roku, kiedy wichry jesienne strząsa na groby ostatnie zeschłe liście... Płoną na cmentarzach lwowskich tysiączne światła, drżą w zimnym wietrze białe chryzantemy, te jesienne, ostatnie kwiaty. Tłumy ludzi przewijają się przez cmentarze Łyczakowski i Janowski, by w ten jeden dzień w roku nawiedzić tych, co snem wiecznym spoczęli na „Bożej roli“.

W ów dzień myśl nasza leci ku dwóm innym, zapomnianym już cmentarzom lwowskim: Żółkiewskiemu i Stryjskiemu. Cicho na nich, ciemno i pusto, — pozniwały nagrobki i pomniki. Nowe się krzewi życie na grobach...

Cmentarz Żółkiewski powstał podobno za czasów Jana Kazimierza, podczas panującej we Lwowie morowej zarazy. U stoków góry Zamkowej miała w owym czasie, swój dworek zamożna rodzina mieszczańska Paparów.

Oni też odstąpili duży kawał swych gruntów miastu na cmentarz, gdzie wkrótce zaczął wyrastać las mogił. Grzebano na „Paparówce“ zadziurnych, zmarłych w czasie epidemji i samobójców. Grzebano ich bezimiennie, — jeder tylko duży krzyż stojący w pośrodku cmentarza przypominał o jego przeznaczeniu.

Dopiero po zaborze Galicji staje się „Paparówka“ właściwym cmentarzem dla całej ludności Lwowa.

Cesarz Józef II. dekretem z dnia 11 grudnia 1783 zakazuje grzebania zmarłych w obrębie miasta, w podziemiach świątyni i na cmentarzykach kościelnych, polecając zakładać cmentarze ziemne. Wówczas to powstają cztery cmentarze lwowskie: Łyczakowski, Stryjski, Żółkiewski czyli dawna „Paparówka“.

Cmentarz Żółkiewski rozszerza się stopniowo: w roku 1817 zajmuje już blisko 3000 sążni kwadratowych. Stara na nim liczne grobowce i pomniki, — wśród nich najokazalszy grobowiec Franciszka K'selki, właściciela browaru zmarłego w roku 1831.

W roku tym straszliwa epidemja cholery zbiera we Lwowie obfite żniwo. Umiera na nią 2621 osób, — to też

i na cmentarzyku żółkiewskim rośnie wówczas las grobowców.

Szybki jednak rozrost miasta sprawił, że cmentarz żółkiewski już w roku 1856 musiał zostać zamknięty. Na gruntach cmentarnych stały nowe zabudowania, załsnily wstęgi szyn kolejowych... Cmentarz szybko popada w stan zupełnego zaniedbania i upadku. Już w roku 1894 pisze na ten temat Schnür - Pełowski: „Opuszczony jest cmentarzyk Żółkiewski, przytulony do góry Zamkowej... tylko krzyż rdzawy lub płyta grobowca wychylająca się zpośród traw i kici, przypominają nam że znajdujemy się na cmentarzyku...“

Dziś cmentarz Żółkiewski, zniknął z powierzchni ziemi — i z pamięci mieszkańców miasta.

Niemniej smutne koleje losu przechodził i drugi cmentarz, Stryjski. Założony wskutek wspomnianego powyżej dekretu ces. Józefa II, obejmował pierwotnie niewielki stosunkowo szmat ziemi, po lewej stronie drogi Stryjskiej — między dzisiejszymi ulicami: Stryjską, H. Dąbrowskiego, Pułaskiego i drogą wiodącą od pomnika Kilińskiego do bocznej bramy wjazdowej parku.

Cmentarz ten wkrótce okazał się za małym. To też już w roku 1823 zostaje zupełnie zamknięty, — a na jego miejsce miasto zakłada nowy, po prawej stronie drogi stryjskiej.

I tu powtarza się podobna historia: zaniedbane, opuszczone grobowce niszczą, porastają chwastami, cmentarz zamienia się w pustkowie... W roku 1879 miasto przystępuje do założenia swego najpiękniejszego parku. Wówczas to teren cmentarny wcielono w obręb nowego parku, oczyszczono, uporządkowano, wytyczono ścieżki i aleje.

A dziś przechodząc spacerując przez piękną aleję grabową nie pamięta już o tem, że w tem miejscu przed pięćdziesięciu kilku laty sterczały jeszcze samotne, pochylone krzyże i bieleły się płyty grobowców.

Ostatnie płyty grobowe, usunięte przed powszechną Wystawą Krajową w r. 1894 użyte zostały przy budowie imitacji starej baszty w parku Kilińskiego.

Nowo założony w r. 1823 cmentarz na wzgórzu stryjskim, obejmujący początkowo przestrzeń tylko 8 morgów,

miał od początku nieszczególną opinie. Utrzymywano, że założony został na gruncie podmokłym, że na dnie grobów stoi woda... Toteż niezbyt chętnie grzebano tam zmarłych, przeważnie biedaków, dzieci-podrzutki, zbrodniarzy i samobójców. W roku 1849, w czasie przemarszu wojsk rosyjskich na Węgry, wyrosły na stryjskim cmentarzu liczne bezimiennie grobowce rosyjskich żołnierzy, zmarłych na zaraźliwe choroby, — co jeszcze silniej podsycało uprzedzenie mieszkańców miasta do tego cmentarza.

Po zamknięciu cmentarza Żółkiewskiego (1856 r.) i Gródeckiego (1875 r.) i nowego podziału miasta na rejony, — cmentarz Stryjski nabiera większego znaczenia. Miasto rozszerza go przez dokupienie sąsiadujących gruntów: „Łan Przymiarki“ i parceli Szutkowskich.

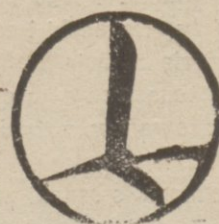
Celem odciążenia cmentarza Łyczakowskiego ustanawia magistrat taksy i opłaty znacznie wyższe w porównaniu z taksami obowiązującymi dla cmentarza stryjskiego. Rzeczywiście też cmentarz stryjski zapełnia się szybko mogiłami, tak szybko, że zaczyna już grozić brak miejsca.

W roku 1888 powstaje tedy nowy cmentarz: Janowski. Od tej chwili zaczyna się upadek cmentarza Stryjskiego. Już w roku 1890 kroniki miejskie notują, że „na cmentarz nieoparkiony od strony stawu Pełczyńskiego wbiegają psy i nierogaczyna, tudzież różnego rodzaju hatajstwo, znieważając groby nieobyczajnym zachowaniem się“.

W trzy lata później, uchwałą z dnia 26 października 1893 Rada miejska zamknęła zupełnie cmentarz stryjski, zarówno dla braku miejsca, jak i ze względów sanitarnych.

Dziś cmentarz stryjski przedstawia smutny obraz zupełnej ruiny i zaniedbania. Nieliczne już tylko kamienne płyty i grobowce niszczą się szybko, dając smutne świadectwo o pamięci i pietyzmie dzisiejszego pokolenia dla zmarłych.

(kr.)



Chcesz odbyć podróż tanio - szybko - wygodnie? Lec samolotem!

Z nowszych zdobyczy o hormonach

(Hormony a witaminy)

Wspaniały rozwój nauki o hormonach jest zdobyczą czasów nowszych; mianowicie w r. 1889 Brown - Sequard, ogłosiwszy wyniki swoich badań nad wyciągami z jąder byka, zapoczątkował erę ścisłych eksperymentalnych badań naukowych w tej dziedzinie. Odtąd szeregi badaczy sumiennie i ścisłą pracą toruje drogę coraz to nowszym odkryciom o bardzo doniosłym znaczeniu naukowym i praktycznym: wyjaśnienie przyczyn wielu chorób i zastosowanie tych odkryć w lecznictwie; dla przykładu wspomnę że odkrycie insuliny w r. 1922 przyczyniło się do wyjaśnienia przyczyny cukrzycy i jej nowoczesnego leczenia.

Rzecz ta nie jest jednak jedynie zasługą genialnego fizjologa Brown - Sequarda, lecz jest też owocem pracy wielu jego poprzedników. Już pod koniec wieku XVIII odzywały się głosy, zwiastujące rozwój nowych pojęć — możliwości oddziaływania na siebie narządów na drodze chemicznej, który to pogląd stanowczo przeciwstawił się panującym wtedy pojęciom o korelacji nerwowej spraw ustrojowych t. j. poglądowi, że narządy oddziałują na siebie tylko drogą odruchu nerwowego. Wśród tych śmiały i zasłużonych poprzedników Brown - Sequarda należy wymienić Berdholda, następnie Cl. Bernarda — odkrywcy glikogenu, który swymi badaniami (1853 — 1860) ustalał ścisłą definicję wewnętrznego wydzielania.

Aby należycie zrozumieć, jak wielkie możliwości praktycznego zastosowania kryją w sobie zdobycze nauki o hormonach, — trzeba zapoznać się z istotą hormonów, podłożem ich działania i ich rolą w życiu ustroju.

Hormony są to ciała chemiczne, wydzielane przez pewne gruczoły, t. zw. gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu. Są to zwykle gruczoły z pewną jednak cechą wyróżniającą. Gruczoły są to narządy bogate w komórki wytwarzające pewne wydzieliny; wydzieliny te powstają na skutek przeróbki przez te komórki materiału odżywczego dostarczanego im drogą krwi tętniczej; są one przeznaczone dla potrzeb ustroju i zostają odprowadzone z gruczołu przez specjalne przewody odprowadzające do jam ciała lub na powierzchnię skóry np. gruczoły żołądka, gruczoły łojowe skóry...

Cechą wyróżniającą gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu jest sposób użytkowania i przeznaczenia wydzieliny tych gruczołów w ustroju. Mianowicie wydzieliny te dostają się drogą bezpośrednią, t. j. bez specjalnych przewodów, nie do jam ciała, lecz wprost do krwi, — do naczyń włosowatych oplatających gęstą siecią komórki gruczołowe, stąd druga imna nazwa tych gruczołów — gruczoły dokrewne. Z krwią opływają one cały ustrój, a stykając się z jego tkankami wywierają specyficzny wpływ na pewne narządy i sprawy pośrednio i na całokształt spraw ustrojowych.

Znaczenie hormonów dla ustroju jest ogromne, gdyż cały szereg podstawowych spraw ustrojowych zależy od ich działania. Można powiedzieć, że dany organizm zwierzęcy lub ludzki z jego budową, właściwościami jego procesów ustrojowych jak przemiana materii, zdolności rozrodcze, nawet usposobienie, wogóle to co wyróżnia go od innych mu podobnych, — jest obok i swych czyn-

ników w znacznej mierze wypadkową działania różnych hormonów.

Te różnorodne działania hormonów można by podzielić na dwie grupy: na ich działanie ogólne na cały ustrój, — i działanie bardziej wybiórcze, na pewne tylko układy, narządy lub sprawy. Podział ten nie byłby jednak dość ścisły, gdyż właściwie działanie ogólne jest wynikiem działań wybiórczych — wzajemnego ustosunkowania się wpływów bezpośrednich i pośrednich poszczególnych hormonów. Podział taki jest jednak użyteczny dla należytego uporządkowania wiadomości, zdobytych doświadczalnie lub drogą spostrzeżeń chemicznych.

Działanie hormonów ogólne ujawnia się jako sprawy rozwojowe młodego ustroju, a więc: budowa kośćca, rozwój tkanki podskórnej, rozwój narządów płciowych, jako stopień nasilenia właściwości przemiany materii, a nawet rozwój zdolności psychicznych...

Ważne sprawy ustrojowe, — czynności narządów wewnętrznych (o umięśnieniu gładkim) jak serce, oskrzela, żołądek, jelita, pęcherz moczowy, — stanowiące o vegetacji i życiu danego ustroju — jest regulowana przez hormony za pośrednictwem układu nerwowego i vegetacyjnego. Układ ten inaczej nazywa się układem nerwowym autonomicznym, gdyż funkcjonowanie jego — kierowanie czynnościami wymienionych ważnych narządów — odbywa się bez udziału naszej świadomości, nie podlega naszej woli. Jedynie w sprawach chorobowych nienormalne funkcje któregoś z tych narządów dochodzą do naszej świadomości.

Centra kierownicze tego układu znajdują się w mózgu i rdzeniu pachymym. Stąd za pośrednictwem dwu symetrycznych zwojów położonych wzdłuż kręgosłupa, zwojów dalszych obwodowych, łączących te zwoje nerwów i zakończeń nerwowych w narządach — idą odpowiednie podniety, do poszczególnych narządów. To kierowanie czynnością narządów odbywa się w ten sposób, że każdy narząd ma podwójne, antagonistyczne unerwienie. Przez jedne nerwy idą podniety z ośrodków kierowniczych pobudzające dany narząd do właściwej mu czynności, przez drugie — podniety hamujące.

Hormony opływając z krwią wszystkie zakątki ciała stykają się w poszczególnych narządach z zakończeniami tych dwu grup nerwów i pobudzają je do wywierania na te narządy właściwych im podniet. Stąd też i nazwa: hormon, oznacza z greckiego wyrazu — pobudzać. W ten sposób hormony zależnie od potrzeb organizmu mogą wpływać na nasilenie procesów zachodzących w danych narządach, hamując lub pobudzając czynność każdego z nich; utrzymują one procesy życiowe na pewnym normalnym poziomie; umożliwiając organizmowi przystosowanie się do danych warunków, uniezależniając niejako harmonię i ład wewnętrzny od czynników zewnętrznych.

Funkcje życiowe narządów można zmieniać, a więc pobudzać lub hamować ich czynności, w sposób sztuczny t. j. za pośrednictwem pewnych ciał chemicznych wprowadzonych do organizmu od zewnątrz.

Nagły lub stopniowy brak któregośkolwiek z hormonów lub niedostateczna produkcja czy też nadmiar w produkcji — wywołane przez pewne zmiany chorobowe w gruczole produkującym dany hormon — wywołują zakłócenia równowagi procesów ustrojowych kierowanych przez układ autonomiczny, co w połączeniu z innymi objawami natury bardziej ogólnej objawia się jako pewna choroba o pewnych charakterystycznych objawach klinicznych.

Badania nad hormonami wyjaśniły etiologię wielu spraw chorobowych przedtem niejasnych, obecnie zaliczanych do schorzeń na tle zaburzeń w wydzielaniu hormonów. Znajac przyczyny tych chorób można też myśleć o skutecznym ich leczeniu. Podaje się dane hormony w razie ich braku jako przyczyny choroby; usuwa się część danego gruczołu, lub podaje się ciało o działaniu antagonistycznym do działania wydzieliny tego gruczołu — w razie nadmiernej produkcji danego hormonu przez ten gruczoł.

Badania więc czysto naukowe dążące do poznania istoty wydzielin gruczołów o wewnętrznym wydzielaniu, ich znaczenia i wzajemnego ustosunkowania się, — dają szerokie możliwości zastosowań praktycznych tych wiadomości w lecznictwie.

Takie właśnie praktyczne zastosowanie może znaleźć nowsze odkrycie z dziedziny hormonów dokonane w Instytucie Biochemicznym w Sztokholmie przez prof. dr. Eulera i dr. Klusmana. Jest to wykrycie antagonizmu, ale nie między dwoma hormonami, — lecz między hormonami a witaminą! Wymienieni badacze w doświadczeniach na zwierzętach wykazali antagonizm między tyroksyną — hormonem tarczycy a karotyną wzgl. witaminą A.

Tyroksyna, — hormon tarczycy o znanej budowie chemicznej (zawiera 65 proc. jodu), którą obecnie otrzymuje się też syntetycznie, — między innymi zwiększa u człowieka podstawową przemianę materii, podnosząc ilość zużytego tlenu, wydalonego CO₂. Na tej zasadzie używa się jej czasem do leczenia nadmiernej otyłości.

Wymienieni badacze wykazali, że karotyna wyrównywała utratę wagi zwierząt doświadczalnych wywołaną u nich przez podawanie tyroksyny. Mianowicie u 13 zwierząt stwierdzono po podawaniu tyroksyny spadek wagi mniej więcej 9 g. na tydzień, — gdy zaś podawano tyroksynę i karotynę jednocześnie, stwierdzono zwiększenie się wagi o 1 gr., zaś po podaniu tylko karotyny zwiększenie wagi o 11 gr. na tydzień.

Jaki jest mechanizm tego antagonizmu, — nie wiadomo. To że podawanie tyroksyny i karotyny jednocześnie podnosi wagę, o 1 gr., zaś podawanie tylko karotyny o 11 gr., podawanie zaś samej tyroksyny spadek wagi o 9 gr., — świadczyłoby, że prawdopodobnie, karotyna niweczy działanie tyroksyny, wiążąc ją w jakiś sposób i uniemożliwiając. Przy wyłącznym więc podawaniu tylko tyroksyny zapas karotyny w organizmie maleje wskutek zwiększonego jej zużycia dla „neutralizacji“ tyroksyny.

Jakie zastosowanie w lecznictwie znalazłoby to odkrycie? wiadomo, że choroba Basedowa jest następstwem hiperfunkcji tarczycy t. j. nadmiernej wydzielania tyroksyny przez ten gruczoł. Otóż zdolność karotyny jakby „neutralizowania“, niweczenia działania tyroksyny — mogłaby być użytkowaną w leczeniu tej choroby.

N. O.

Muzyka narodów w radjo

Cykl audycji muzycznych, nadawanych obecnie przez Polskie Radio a poświęconych muzyce poszczególnych narodów europejskich i to przeważnie nowoczesnej, obdarzył nas w ubiegłym tygodniu szeregiem produkcji na należytych poziomach artystycznym, nasuwających równocześnie pewne refleksje o charakterze nie wyłącznie muzycznym. Usłyszeliśmy więc transmitowaną na wszystkie stacje polskie muzykę węgierską i to orkiestralną, następnie koncert z utworami Webera, Wagnera i Schillinga z udziałem niemieckiej śpiewaczki, a więc niejako reprezentatywny dla Niemiec współczesnych, oraz w zasięgu lwowskim wieczór kompozytorski Ant. Rudnickiego.

Przekrój dorobku muzycznego na Węgrzech ukazany nam w szeregu utworów orkiestralnych W. Vaszego, Z. Kodályego, L. Weinera i E. Dohnányiego, o bardzo nierównej zresztą wartości, nie mógł dać niestety właściwego pojęcia o prądach nurtujących współczesną muzykę węgierską, choćby z powodu ominięcia B. Bartoka, głównego jej reprezentanta. Na program tego koncertu złożyły się: Uwertura komediowa W. Vaszego, dyrygenta tego wieczoru, dziełko nie mówiące, a zalecające się chyba jedynie niewielkimi rozmiarami. Intermezzo z opery: „Hary Janos“ Z. Kodályego, blade w całości i niezdołne zobrazować twórczości tego wybitnego zresztą kompozytora. Humoreska karnawałowa L. Weinera, zgrabna i doskonale zinstrumentowana, oraz czteroczęściowa Suita E. Dohnányiego, dzieło wielkiego bezwzględnie talentu, smaku artystycznego i wiedzy kompozytorskiej, ale również mało charakterystyczne.

W całości program nie zawierał utworu, w którymby się zaznaczył dobitnie choćby folklor muzyczny narodu węgierskiego, lub wystąpiły w jaśniejszym świetle zdobycze nowszej techniki kompozytorskiej.

Koncert muzyki niemieckiej, zapowiedziany aż w 3 językach, zapoznał radio-słuchaczy polskich z śpiewaczką opery berlińskiej, p. Rozalindą von Schirach, przed nastaniem nowego regime'u mało

w Niemczech znaną. Głos niewątpliwie piękny, choć w górze zwłaszcza niezrównany i łatwo się usuwający, wzorowa dykcja, interpretacja w wyjątkach operowych (Wolny Strzelec, Trystan i Izolda) wprowadziła stylową, ale błada w wyrazie, nieprzekonywującą i w obranych tempach nieco rozwlekłą, — oto pierwsze wrażenie, które umocniło jeszcze wykonanie czterech pieśni Schillingsa, Poza wspomnianymi już wyjątkami z „Tristana“ i „Wolnego Strzelca“ oraz mało zajmującymi pieśniami Schillingsa, zmarłego niedawno kompozytora kierunku poważniejszego — obejmował program tego koncertu jeszcze uwerturę do „Oberona“ i wstęp do „Śpiewaków norwimberskich“, wykonane przez orkiestrę P. R. pod dyr. T. Mazurkiewicza z należytem uplastycznieniem szczegółów i dobrą architektoniką całości.

Wieczór kompozytorski Ant. Rudnickiego z udziałem sopranistki p. Sokół-Rudnickiej, sprofilował przedewszystkiem pieśniarską stronę tego nieprzeciętnego talentu, gdyż umieszczony w programie jeden utwór fortepianowy (temat z warjacji z sonaty op. 10), niezbyt jasny i wyrazisty w swej budowie warjacyjnej, nie mógł zająć silnie słuchaczy twórczością fortepianową, młodego lwowskiego kompozytora. Natomiast 3 cykle pieśni: Pieśni spokojne, op. 2, Pieśni miłosne, op. 3, oraz cztery pieśni do tekstów chińskich liryków, op. 6, zdołały zainteresować w znacznym stopniu zarówno piękną linią melodyjną, ciekawą harmonizacją i barwną ilustracją fortepianową, jak i szczerością inwencji.

O jakiejś skrajnej „lewicy“ muzycznej niema tu mowy trudno też doszukać się wyraźnych cech narodowych w tej muzyce, raczej tendencje umiarkowane wzbogacone zdobyczami techniki Zachodu znamionują tę twórczość artystyczną.

Sopran liryczny p. Sokół-Rudnickiej o bardzo pięknym brzmieniu uwypuklił wspomniane walory muzyczne i dał całość szersze odczucie, szkoda jedynie, iż niewyraźna dykcja nie pozwoliła zaznaczyć się dokładniej z tekstem wykonanych pieśni.

Powieść biograficzna

Powieść historyczna, która tak wielkie święciła triumfy i na tak zawrotne wyżyny artyzmu wzniosła się w stuleciu ubiegłym, w naszych czasach wegetuje ledwie, prowadząc najżałośniejszy żywot spośród wszystkich rodzajów literackich. Uważana przez większość dzisiejszych pisarzy, — poszukiwaczy nowych dróg artystycznych — za przeżytek, za balast tradycjonalistyczny, za dziedzinę niegodną ożywienia świeżym powiewem ducha nowej sztuki, — pozostaje powieść historyczna na uboczu, zdala od wpływów walk i poszukiwań i nowych prądów artystycznych. — Z drugiej jednak strony będąc najklasyczniejszym, najczystszy typem powieści epickiej — siłą rzeczy musi, by zachować swe prawdziwe oblicze, pozostawać w ścisłym związku z tradycjami i dziedzictwem wielkiej sztuki epickiej czasów minionych, to też pisarze, którzy próbują zerwać związek między nią a tą tradycją, z reguły niemal zawsze osiągnęli wyniki ujemne i zniechęceni rezygnują z dalszych prób w kierunku podciągnięcia powieści historycznej pod uwypuklający się z dnia na dzień coraz wyraźniej szablon „dzisiejszej sztuki”.

Najbardziej charakterystyczna, najważniejsza i stosunkowo najwięcej jeszcze udaną próbą zerwania z tradycjami epiki na polu powieści historycznej, było stworzenie nowego rodzaju literackiego, znajdującego się ściśle na pograniczu literatury pięknej i historii — tzw. „żywota romansowego” (la vie romancée) czyli powieści biograficznej. Uprzedzając dalsze wywody trzeba zgóry stwierdzić, że poza rzadkimi a nielicznymi wyjątkami (rosyjska powieść historyczna, u nas zaś powieści Kossak - Szczuckiej), powieść historyczna dnia dzisiejszego odgrywa jaką taką rolę w literaturze jedynie w formie powieści biograficznej.

Wiele na to złożyło się przyczyn i to zarówno natury czysto estetycznej, artystycznej, jak i socjologicznej i ogólnie kulturalnej. Epoka nasza i jej kultura mają charakter typowo ahistoryczny, można nawet powiedzieć — antyhistoryczny. Ani mas czytelniczych ani krytyki literackiej, ani utworów samych, nie pociąga urok czasów zamierzchłych; urok, tkwiący w odmienności, a jednocześnie w kryjącej się za tą odmiennością — niezmienności ludzi przez niewątpliwą sugestywność: siłę i barwność gestu i efektu kostiumowo-dekoracyjnego, które tak wielkie wrażenie wywierały w epokach minionych, choć i nie tak dawnych jeszcze: w czasach Waltera Scotta czy Dumas'a-ojca, Flauberta, Sienkiewicza czy Ro-standa.

Nie pociąga więc przeszłość jako taka, — to też, by mogła zainteresować, trzeba ją aktualizować. W jaki sposób? Szukając elementów wspólnych we wszystkich epokach. — Takim elementem najbardziej niezmiennym jest dusza ludzka. Stąd skupienie całej uwagi na psychologii człowieka czasów minionych i to psychologii, naświetlanej tak, by uwypuklała nie to, co go od ludzi dzisiejszych i ich dusz różni, — ale to, co ma z nimi wspólnego. W tej aktualizacji, dokonywanej drogą rozwielmożenia się psychologizmu kosztem innych elementów literackich, tkwi

źródło powodzenia żywiołów romansowych, ale zarazem — tai się niebezpieczeństwo: autor powieści biograficznej, grzeszy ambicją aktualizacji przeszłości — sam nie zauważa, jak wpada w anachronizm, nie tylko psychologiczny, ale i rzeczowy.

Przeniesienie się w naszych czasach punktu ciężkości tworzenia dzieł na wybitne indywidualności, kierujące zorganizowanymi i zdyscyplinowanymi masami, również decyduje o żywotności żywiołów romansowych: przeszłość interesuje o tyle, o ile wielkie jej postacie dadzą się oglądać, a często i rozumieć drogą porównywania z twórcami dzieł dnia dzisiejszego. I tu znowu niebezpieczeństwo artystyczne, którego nie uniknął prawie żaden wybitniejszy autor powieści biograficznej: wielkie postacie czasów ubiegłych niemal zawsze zanadto stają się podobne psychicznie (a nawet nie tylko psychicznie, bo i biografje ich autor demonstruje w odpowiedni sposób) do wybitnych działaczy naszej epoki, przyczem autor, tak skrzętnie chwytający i uwypuklający podobieństwa, zupełnie zapomina o różnicach — wieki, a nieraz i tysiąclecia przestają dla niego istnieć!..

Oprócz aktualizacji przeszłości, którą można albo aprobować albo ganić (to jest kwestja wyłącznie osobistego zapatrywania) — o rozwielmożeniu się powieści biograficznej decydują inne jeszcze czynniki, świadczące na niekorzyść współczesnych powieściopisarzy historycznych: brak szerokiego oddechu epickiego, niezdolność stworzenia rozległej, szeroko rozbudowanej kompozycji powieściowej brak olimpijskiego, beznamiętnego obiektywizmu artystycznego, umożliwiającego patrzenie na ten sam fakt oczyma raz jednego, raz drugiego ze zwalczających się aktorów dramatu dziejowego, — wszystko to każe nowoczesnemu powieściopisarzowi historycznemu — biografście zwięzić swe dzieło do granic, w których zamykają się dzieje życia i duszy jednego tylko człowieka. — Cała zaś reszta: epika, jej duch i kultura, inni ludzie, ich dzieje, — wszystko to zepchnięte zostaje na plan dalszy.

Niewątpliwą wyższość nad dawnymi powieściopisarzami historycznymi mają dzisiejsi biografiści w zakresie odzwierciedlania prawdy historycznej. Gdy czytamy „la vie romancée”, — możemy się nie godzić z takim czy innym pojmowaniem epoki i jej ludzi przez autora, ale nigdy nie wątpimy w to, że przedstawiony przezeń fakt istniał naprawdę. Ale czy ta niezachwiana wierność prawdzie historycznej jest wyłącznie zaletą? W monografii naukowej — tak, ale w dziele sztuki?..

Mimowolę nasuwa się przypuszczenie, że powieściopisarzom historycznym naszych dni braknie inwencji beletrystycznej, — brak im wyobraźni twórczej, której takie wspaniałe bogactwo uderza u autorów XIX stulecia i że nic innego, tylko niezdolność do tworzenia samodzielnych własnych obrazów i wątków, logicznie wiążących się z epoką, którą opisują. — każe im niewolniczo odtwarzać jedynie prawdę historyczną.

Ale i tu nieraz wyższość mają nad nimi Walter Scott, Dumas ojciec, Flaubert, Sienkiewicz, Lew Tołstoj. Cóż z tego, że nie istniał nigdy Templarjusz-Brian de Bois - Gilbert i nie poległ wcale w cudowny sposób w czasie swe go zwycięstwa nad niehistorycznym przyjacielem Ryszarda Lwie Serce?... Cóż, że Karola Stuarta nigdy nie ratowali czterej muszkietierowie francuscy? Że nie istniał pan Zagłoba, i nie Andrzej Kmiecic zadecydował o obronieniu się Częstochowy?..

Ale duch epoki, w której żyją, walczą i kochają ci nigdy nie istniejący ludzie, odtworzony jest przez ich twórców, zrozumiany i wyczuty znacznie prawdziwiej nieraz, niż przez dzisiejszych autorów żywotów romansowych, którzy — jak grzeczne dzieci — nigdy nie pozwolą sobie skłamać, nigdy — nie przedstawiają obrazu czy człowieka, którego istnienia nie udokumentują źródłami historycznymi, — ale którzy często nie potrafia oddać prawdziwego ducha epoki!

Do najwybitniejszych i najgłośniejszych powieści biograficznych naszej epoki zaliczyć należy Andrzeja Mauroisa żywoty Shelley'a, d'Israelego - Beconsfielda Edwarda VII; Emila Ludwiga „Napoleon” i „Lincoln”, Wassermana biografje Kolumba („Don Kichot Oceanu”) i Stanley'a („Bula Matari”) i Tymianowa — dzieje znakomitego rosyjskiego komedjopisarza Gribojedowa („Śmierć Wazir - Muchtara”). Charakter biograficzny mają i „Historje Jakóbowe” i „Dzieje Józefa i jego braci” Tomasza Manna, a nawet i Krystyna, córka Lawransa — Sygrydy Undset, — bo choć bohaterka cyklu „Wianek”, „Żona” „Krzyż” jest postacią zmyśloną — dzieje jej to nic innego, jak biografja bezimiennej, ale prawdziwej, typowej kobiety średniowiecza.

Natomiast — wbrew pozorom — nie jest żywotem romansowym „Piotr Pierwszy” Aleksandra Tołstoja, — przeciwnie, jest to zadziwiająca swym szerokim oddechem, monumentalna kompozycja epicka — powieść nie o jednym człowieku, epokę tworzącym, ale o epoce, przez człowieka tworzonej — a to nie jest to samo!

Najklasyczniejszym przykładem romansu biograficznego jest świeżo wydany po polsku (nakładem w — twa J. Przeworskiego, przekład Zofji Petersowej) „Juliusz Cezar” Mirko Jellusicha. W żadnym innym utworze z dziedziny żywota romansowego nie występuje jego prawdziwy charakter w całej pełni tak, jak w opowieści o życiu twórcy imperjum rzymskiego na gruzach rozpadającej się, rozkładającej Rzeczypospolitej.

W dziele Jellusicha imponuje nie tyle rozległa i głęboka wiedza o Cezarze (do tego jesteśmy już przyzwyczajeni u dzisiejszych biografów), ile dążność do stworzenia oryginalnej szaty artystycznej, któraby z romansu biograficznego uczyniła naprawdę dzieło sztuki, a nie zajmujące dziennikarskie sprawozdanie tylko (Wasserman), lub monografię historyczną, rozwodnioną pseudo - literackim, rzekomo poetyckim stylem (Ludwig, Zweig).

Z przekładu trudno osądzić, o ile „Juliusz Cezar” jest dziełem sztuki, —

niewątpliwie są momenty beletrystyczne i dramatyczne, świadczące o usiłowaniu autora stworzenia naprawdę powieści o wielkim dyktatorze Rzymu, a nie biografji pseudo - artystycznej. Zarówno koniec utworu, jak i niektóre epizody, nacechowane dynamizmem i umiejętnością porwania pointe'a — świadczą na korzyść dzieła Jellusicha.

Juliusz Cezar jest postacią wymarzoną dla autora żywota romansowego: rzadko kiedy w dziejach indywidualności wielkiego człowieka tak naprawdę ułożyła swe piętno na epokę i przysłoniła sobą i całą epokę i innych jej ludzi. A przecież jednak i Pompejusz, i Krassus, i Sulla, i Brutus żyli swym własnym życiem psychicznym i społecznym, i rasowy beletrystyk — epik potrafiłby więcej wydobyć z ich psychiki i dziejów dynamiki, niż to uczynił Jellusich.

Moment aktualizacji jest w treści książki Jellusicha niewątpliwie najważniejszy. Czemże jest jego dzieło? Namietną apoteozą jedynowładztwa silnego człowieka, jedynie umiającego wznieść się na szczyty służby i pracy dla dobra ogółu, które to dobro będzie umacniał siłą, choćby i wbrew woli tegoż ogółu. A zarazem jest to akt oskarżenia, wytoczony republikanizmowi, demokracji i oligarchji zarazem, przedewszystkiem zaś parlamentaryzmowi.

W świetle książki Jellusicha partja republikańska, jej filary — Cycero i Kato Młodszy, jej ideały i dążenia, — to jedno wielkie bagno demoralizacji, cynizmu, interesowności lub w najlepszym razie ograniczonej tępoty. Tej bandzie, nie chcącej dla własnego interesu wypuścić władzy z rąk, przeciwstawia autor silnego człowieka, znającego swą wartość — wartość dla dobra ogółu.

Historjografja to typowa dla naszych czasów. W jej świetle nawet Katylina wyrasta ponad Cycerona. — Panta rei — cóżby powiedział hetman Zamojski Andrzej Maksymilian Fredro i cała zapatrzona w ideały republikańskiego Rzymu — szlachta staropolska, gdyby tak jej przedstawiono wówczas jej ulubieńców i mistrzów?!

W aktualizacji przeszłości idzie Jellusich za daleko. Jego Cezar myśli zanadto po dzisiejszemu, chwilami aż do złudzenia przypominając dzisiejszych dyktatorów; jego senat zanadto przypomina współczesne parlamenty, by nie robić wrażenia anachronizmu i wypaczenia prawdy dziejowej. Wrażenie to potęguje niesłychanie słownictwo: Jellusich nie tylko sam w narracji używa wyrazów ze słownika pojęć i obyczajów społeczeństwa o 2.000 lat odległego od Cezara, ale w usta swych bohaterów wkłada słowa, które natychmiast rozwiewają złudę że jesteśmy w r. 60 przed Chrystusem.

Bez oryginału trudno sprawdzić, czy nie zawiniła tu przesadna gorliwość tłumaczki, — w każdym jednak razie „pas” i „piruety” na zebraniu towarzyskiem u Krassusa, a ponadto: adjutant, zaferowany, front, (w zdaniu „idę na front”), lewica, prawica (partje polityczne!) i wiele innych bardzo obniżają powagę dzieła o Juliuszu Cezarze, jako powieści historycznej, t. zn. jako powieści, mającej za zadanie słowami dzisiejszemi oddać prawdę tamtej epoki i jej ducha.

Nieco o pomarańczę

Drzewo pomarańczowe pochodzi z podzwrotnikowej Azji południowej, z okolic leżących u stóp gór himalajskich i z południowych Chin. Z tych krajów hodowla drzew pomarańczowych rozszerzyła się już dawno we wszystkich częściach świata, nawet w krajach klimatu umiarkowanego, leżących bliżej północy.

Rozszerzona hodowla tych drzew przyczyniła się do powstania kilku gatunków pomarańczy po uszlachetnieniu, a właściwie po zaaklimatyzowaniu zwłaszcza chińskiej mandarynki w innych krajach. Zasadniczo istnieją cztery główne odmiany drzewa pomarańczowego, które różnią się między sobą wielkością, kształtem, kolorem, grubością skórki i smakiem owocu, inne zaś odmiany powstały pod wpływem danego klimatu, rodzaju gleby, sposobu pielęgnacji i nawożenia.

Główne odmiany drzew pomarańczowych posiadają własne nazwy w handlu. Pierwszą odmianę, pochodzącą z Chin, nazwano **mandarynką**, drugą **sewilską** pomarańczą, odznaczającą się wybitną kwasotą, trzecią zwie się **bergamotową** i wyrabia się z niej znany olejek bergamotowy, używany dawniej przy wyrobie tabaki bergamotki, wielce ulubionej w Polsce, a czwartą nazwano **zwykłą**, albo **słodką**, nadającą się najlepiej do konsumpcji.

W botanice zaliczono pomarańczę do rodziny Rutaceae, a samo drzewo pomarańczowe nosi nazwę naukową *Citrus aurantium*. Drzewo to odznacza się tem, że jest wiecznie zielone, posiada liście o kolorze i wyglądzie skóry, kwiat zaś jego jest biały i rozsiewa w koło miły i nadzwyczaj silny zapach. Zwykle drzewo pomarańczowe nie przekracza wysokości 10 metrów.

W przyrodzie drzewo pomarańczowe rośnie samorzutnie w krajach o klimacie umiarkowanym, wilgotnym, leżącym niżej do —5 st. C. W takich okolicach pomarańcza owocuje cały rok, daje trzy, a nawet cztery zbiory rocznie, podczas gdy w innych krajach owocuje jedynie w miesiącach letnich i daje często tylko jeden zbiór w roku.

Drzewa pomarańczowe udają się dobrze na ziemi lekkiej, pochylonej ku południowi, dobrze uprawionej i nawodnionej i należycie nawożonej. W każdym kraju, w którym kwitnie hodowla pomarańczy, istnieją liczne szkółki, w których pielęgnuje się sadzonki i z których przesadza się młode krzaczki w przeznaczone miejsca. Wiosną wysadzać można również gałązki pomarańczy nawet na pole, a nie tylko do wazonów.

Przed wysadzeniem krzaczków wykopuje się na polu szerokie dołki, głębokie na 60 cm., we wzajemnej odległości od siebie 5 do 10 metrów, zależnie od jakości gruntu i klimatu. Sadzonki względnie krzaczki przykrywa się ostrożnie, bez naruszenia korzonków ziemią, zmieszaną z nawozem i utwardza lekko na stanowisku.

Pole pomarańczowe ochrania się przed wiatrami i w tym celu otacza się je drzewami, odznaczającymi się rozłożystością. W Afryce otaczają pomarańcze eukaliptusami. Pielęgnacja pól pomarańczowych polega na tem, że dwa razy w roku na wiosnę i w jesieni przeoruje się ziemię między drzewami pługiem i **narzyna** się ją nawozem. Prócz tego młode drzewka w pierwszym i drugim roku wzrostu podlewa się obficie co dwa tygodnie przestając wodą w czasie posuchy. Gdy pomarańcza kwitnie, ogląda się

każde drzewo bardzo troskliwie, oczyszcza się je z każdej naleciałości, obcina suche i wątłe gałązki, jak też odrosty dolne, podpira gałęzie, a ziemię w koło drzewa dokładnie oczyszcza, przerabia i odkaża. Drzewo pomarańczowe jest wielce wrażliwe na wszelkie wpływy zewnętrzne i szkodniki wszelkiego rodzaju, bardzo łatwo zakaża się, a wówczas ulega chorobie.

Dlatego też tylko dobrze pielęgnowane drzewo wydaje już w czwartym roku swego wzrostu owoce. Z początku daje w roku 800 do 1200 sztuk pomarańczy, z latami ilość ta wzrasta do 2.000 sztuk i więcej, a przy dobrej hodowli i pielęgnacji jeszcze w 25 roku życia dostarcza około 3.000 sztuk owocu w roku. Koloniści francuscy w Algierze zbierają z jednego hektara około 3 milionów, a nawet więcej pomarańczy.

Pomarańcza, zebrana w zupełnie dojrzałym stanie, jest prawie zawsze słodką i soczystą. Z uwagi jednak na to, że konsumpcja miejscowa jest zwykle nieznaczna i olbrzymią większość zbioru przeznaczają na wywóz, zrywa się pomarańcze w stanie na pół dojrzałym, by zdolne były do przewozu. Zebrane owoce muszą się najpierw wypocić, przeschnąć, następnie oczyszcza się je i segreguje według wielkości na kilka sort stosownie do wymogów handlu i ceny. Następnie pakuje się je w skrzynie po 250 do 400 sztuk, a droższy towar za-

wija się w bibułki i chroni w ten sposób od gnicia i uszkodzenia.

W Europie kwitnie hodowla pomarańczy w Hiszpanii w okolicach Walencji i Sorento, we Włoszech koło Messyny, u podnóża Etny i w Kalabrii, wreszcie na Riwierze francuskiej, na wyspie Korsyce i w Grecji. Rząd francuski popiera bardzo usilnie hodowlę pomarańczy w swych afrykańskich koloniach. — Z początkiem listopada kolonie te zasypują Europę dwoma gatunkami pomarańczy, a mianowicie: pomarańczą kabuską i drugą odmianą zwaną Blidah, które dają owoc duży, prawidłowo okrągły, blade żółtawy, bardzo soczysty, o pięknym zapachu, ale często niemile kwaskawaty i suchy.

Chiny wywożą po za swe granice bardzo wielkie ilości pomarańczy małych, prawidłowo okrągłych i smacznych. Również Mała Azja, a zwłaszcza Palestyna wywozi wiele tego owocu, a nawet w ostatnich czasach wyhodowano tam nową odmianę, wielką wprawdzie, ale często niciastą i kwaśną.

W Afryce hodują wiele pomarańczy Tunis, Algier i równina zwana Metidja. W Ameryce kwitnie ta hodowla w Kalifornii i na półwyspie Floryda. W Algierze i w Tunisie rośnie dobra odmiana drzewa pomarańczowego, znana w nauce pod nazwą *Citrus deliciosa*, dająca owoc mały, soczysty i smaczny jak mandarynka. W kraju tym zbiera się poma-

rańcze trzy razy do roku w końcu października, w grudniu i na wiosnę. Hodowla drzew pomarańczowych zajmuje w Algierze poważną przestrzeń, gdyż około 9.500 ha.

Owoc ten tani wszędzie na miejscu, podlega w każdym kraju, a zwłaszcza w Polsce bardzo wysokim opłatom celnym. Nawet kolonista francuski musi płacić wysokie cło przy wywozie tego towaru do Francji. To też owoc ten nie jest dostępny dla szerokich mas ludności w Europie.

Chodzi więc obecnie o odpowiedź, czy drzewo pomarańczowe może rozwijać się i owocować w naszym klimacie i na polskiej glebie. W dawnych czasach królów polscy i magnaci urządzali u siebie pomarańczarnie z wielkim nakładem kapitału i pracy. O ile wiemy, nikt nie próbował wyhodować w Polsce polską odmianę pomarańczy, przystosowaną do naszych warunków klimatycznych. — Wprawdzie ogrodnicy polscy uważają tę sprawę za przesadzoną i mówią, że pomarańczowe drzewo nie może w Polsce normalnie owocować, jednak biorąc pod uwagę najnowsze zdobycze techniki rolnej i możliwość posługiwania się elektrycznością i sztucznym ciepłem, sądzę, że w pewnych okolicach Polski możnaby przy należytych instalacjach hodować te drzewa, licząc naturalnie tylko na jeden zbiór w roku. W tym wypadku powstałaby jeszcze jedna odmiana pomarańczy, *Citrus polonica*.

Dr. J. SKULSKI Inż. roln.

Galicyjska cenzura

Dzieje cenzury galicyjskiej, wprowadzonej w styczniu 1776 roku, zajmują zgoła niezaszczytną kartę w historii literatury i piśmiennictwa polskiego pod zaborem austriackim.

Początkowo funkcje te spełniała tzw. Komisja cenzuralna ze siedzibą we Lwowie. Już jednak w roku 1781 scentralizowano i te funkcje we Wiedniu, gdzie utworzoną została Centralna Komisja cenzuralna dla wszystkich krajów wchodzących w skład monarchii austriackiej, z ekspozyturami rozrzuconymi po wszystkich większych miastach.

Rok 1810 przynosi inowację: we Lwowie powstaje tzw. „Bücher-Revisions-Amt“, zatrudniający cenzora, kancelistę i woźnego. Dla wydawnictw w języku żydowskim istniał osobny cenzor przy tymże urzędzie.

„Urząd dla cenzury książek“ posiadał niemal nieograniczoną władzę, a od orzeczeń jego nie było apelacji. Kontrola jego podlegały wszystkie książki i druki sprowadzane z zagranicy, — jak również wszystkie wydawnictwa krajowe, do sztychów, map i nut włącznie.

Taksamo podlegały kontroli cenzora wszystkie księgarnie i wypożyczalnie publiczne.

Udzielenie pozwolenia na druk („Imprimatur“) lub też odmówienie tego zezwolenia („Non admittitur“) zależało od fantazji czy dobrego humoru cenzora: nierzadko też szukali pisarze skutecznej protekcji... nawet i u kucharek.

Tak miała się sprawa z „Dumami Polskimi“ Tymona Zaborowskiego. Był wówczas cenzorem radca gubernjalny Bernhard, człowiek dość ograniczony, nie zły nawet, ale zdziwaczka. Nie znoślił w rękopisach niewinnego słówka „nawiasem“, wietrząc w niem coś podejrzanego, groźnego dla c. k. rządu. Bezlitośnie też skreślał słowa „Polska. Po-

lacy“, wstawiając na ich miejsce wyrażenia „kraj, ziomkowie“.

Kiedy więc redakcja „Pszczółki polskiej“ wręczyła mu do cenzury wierszyk, w którym znalazła się strofka następująca:

Wdziwajcie bracia żupany,
zapuszczaj wasy Polaku.
ten, kto gromił bisurmany,
nie wjeżdżał do Wiednia we fraku,

skrupulatny cenzor zmienił Polaka na „ziomka“, a Wiedeń na „Paryż“. Oczywiście w tej formie wiersz nie mógł zostać wydrukowany.

Zaborowski zatem, wiedząc, że Bernhard nie chce zgodzić się na wydrukowanie jego „Dum“ w „Haliczanie“, zwrócił się do mistrzyni od rondla, cieszącej się wyjątkowymi względami swego pracodawcy.

Interwencja ta pomogła, — cenzor ustąpił.

Wyjątkową postacią był poprzednik Bernharda na urzędzie cenzora, Wacław Hann. Niemiec z pochodzenia, nauczył się szybko po polsku, a oddany pracy naukowej i literackiej, żył się serdecznie z młodzieżą uniwersytecką, budząc w niej zamiłowanie do literatury. W roku 1792 piastuje godność rektora Uniwersytetu, Miasto Lwów, w uznaniu jego zasług, mianuje go w r. 1811 obywatелеm honorowym, ale Hann, złożony z urzędu i pozbawiony pensji, kończy swój żywot niemal w nędzy.

Po roku 1830 cenzura święciła prawdziwe orgie. Celowała w tem policja austriacka, która cenzurowała nie tylko dzienniki i afisze, lecz mieszała się ustawicznie i do spraw, podpadających pod kompetencję urzędu cenzuralnego.

Zwłaszcza odznaczył się na tem po nim zastępca dyrektora policji br. Antoni Paumann, przeniesiony następnie do wiedeńskiej centrali.

Wypadki marcowe 1848 roku pociąg-

nęły za sobą zniesienie cenzury. Nie na długo jednak, bo już w listopadzie tegoż roku, z nastaniem rządów reakcji, cenzura odżyła, choć w zmienionej formie. A dała się ona porządnie we znaki współczesnym pisarzom i publicystom polskim, niemiłym rządowi, żeby wspomnieć tylko o wywiezieniu do służby w batalionach karnych Jana Dobrzańskiego oraz o prześladowaniach, na jakie wystawiony był Jan Zachariasiewicz.

(kr.).

„Pijany jak Polak“

Utarło się we Francji nie bardzo przyjemne dla nas powiedzenie: „Pijany jak Polak“. Nie wszyscy jednak zapewne wiedzą, skąd to poszło i, że początkowo miało znaczenie odmienne od dzisiejszego. Bo bardziej pochlebne dla nas.

O powstaniu tego powiedzenia opowiada nam w ostatnim numerze „Marianne“ znakomity feljetonista p. Pierre Bost w reportażu zatytułowanym „20 dni w Polsce“.

Historijka ta sięga czasów napoleońskich i walk cesarza w Hiszpanii. Otóż gdy oblężenie (prawdopodobnie) Saragossy, zbyt długo przeciągało, zniecierpliwiony cesarz polecił zaatakować ją pułkowi polskiemu, którego odwaga i dzielność bardzo mu się podobały. Jednakże woź odpowiedział mu, że jest to niemożliwe, albowiem polscy żołnierze są kompletnie pijani.

Napoleon, nie zrażony tą wiadomością, utrzymał swój rozkaz.

W rezultacie Polacy zaatakowali Saragossę, z takim ogniem i odwagą, że wkrótce ją zdobyli, okrywając się nieśmiertelną sławą.

Od tego pamiętnego incydentu, kiedy Napoleonowi mówiono, że żołnierze pewnego oddziału wojskowego za dużo wypili, odpowiadał: „Niech piją, — jeśli chcą, — lecz niech będą tak pijani jak Polacy.“

Od Siemieńskiego do Kołaczkowskiego

Tadeusz Grabowski: „Krytyka literacka w Polsce w epoce realizmu i modernizmu (1863—1933)”. Poznań 1934 (nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Prace komisji filologicznej tom VI, zeszyt 2. W 8. ce str. 4 n.b. + 317. Cena 10 zł).

Obok literatury religijnej, katolickiej i różnowierczej wieku reformacji i kontrreformacji, drugą specjalnością 60-letniego profesora uniwersytetu poznańskiego jest historia naszej krytyki literackiej. Studja nad nią rozpoczął niezadawalającymi rozprawami o Osiejskim i Michale Grabowskim, poczem kolejno ogłaszał wyniki swych badań nad krytyką literacką w czasach romantyzmu (1818—1830), w Poznańskim i w Galicji po r. 1850, dalej o krytyce na emigracji po r. 1850 w kraju, nareszcie zebrane razem w dwu książkach: „Krytyka literacka w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu” (1918) i „Krytyka lit. w epoce romantyzmu” (1931).

Tom, który mamy przed sobą, zamyka chronologicznie całość przedmiotu i ogarnia drugą połowę dziejów krytyki polskiej, minionego 70-lecia.

Materiał podzielił autor na 9 rozdziałów. Po dość ogólnikowym wstępie, na czym polegała teoria krytyki realistycznej, charakteryzuje rolę Siemieńskiego, Szulskiego, Tarnowskiego i Tretiaka, jako przedstawicieli „szkoły krakowskiej”. Przechodząc do krytyki lwowskiej, kładzie nacisk na filologizm Małeckiego, za którego kontynuatora uważa Pilata i, w dalszym przedmiotu działania, Nehringa.

Ujawniwszy istotę tainizmu i nastawienie pozytywizmu w zaborze rosyjskim, zaczyna korowód jego przedstawicieli od Kraszewskiego, poprzez Spasowicza do Chmielowskiego. Następnie mówi o przenikaniu naturalizmu i reakcji nań, ocenia zasługi Sygietyńskiego na przełomie nowych prądów. I znowu wraca do tainistów, by przez Krzemińskiego, Bema i in. zdążyć do Chlebowskiego, obszerniej stosunkowo traktowanego.

Dążenia impresjonizmu umieszcza autor na dokładniej nieco podmalowanym tle ogólnych teorii estetycznych modernizmu. Na plan pierwszy wysuwa Witkiewicza, poczem dopiero rozwodzi się o Miriamie i Porębowiczu, by zatrzymać się dłużej nad Matuszewskim, rozległością i zasięgiem jego zainteresowań, tudzież estetyką w duchu Lipsa. Przy nim dopiero grupuje Jellentę, Langego, Gostomskiego, niby satelitów.

Jako reprezentantów zwrotu do idealizmu lokuje autor w jednym rozdziale i na jednej linii Przybyszewskiego, Brzozowskiego i Zdziechowskiego, a za nimi umieszcza w dalszej perspektywie Feldmana, Boya i Wasilewskiego. Wreszcie przedostatni rozdział poświęca krytyce neofilologicznej i zwiastunem nowej ery. Tu znalazło się miejsce dla profesorów od Kallenbacha poprzez Chrzanowskiego do Brücknera i młodszych z Pigoniem i Kleinerem, kończąc zaś na Kołaczkowskim i — Czachowskim.

„Synteza dziejów krytyki polskiej” na 9 stronicach uwypatnia najpierw coraz większe w realizmie zajęcie dla jednostek twórczych, przeciwstawia historyzm krakowski — lwowski i pozytywizm warszawski. Natomiast modernizm domaga się badania sposobów twórczych, entuzjazmuje się dla kształtu i pierwiastka wiekaistości w sztuce, szuka tzw. natury twórczej. Estetykę wcielił do antropologii, a zagadnienie stylu uczynił kwestią społeczną. Postawę i świadomość moralną kazał łączyć ze zmysłem filozoficznym. Dziejami krytyki rządzi, wedle autora, pewne immanentne prawo rozwoju. Krytyka literacka w kontraście do historii literatury jest i ma być wyrazem osobistych przeżyć i kieruje się celami społecznymi. Historyk, a za nim filolog, nie współdziała z epoką, ale ją bada.

Tyle co do treści książki Grabowskiego. Miał on wszędzie drogę utartą, teren przeczany. Nie stał po omacku dysponując takim kompetentnym przewodnikiem, jak Chmielowski „Dzieje krytyki lit. w Polsce” (1902), a nad-

to obfitym materiałem, zebrany przez Feldmana w ostatnim tomie jego „Piśmiennictwa pol. (wyd. III i VI)”. Gdy Chmielowski w swych ocenach przykładał ściśle miarę tainowską, jako kamień probierczy, — to Feldman patrzył na krytykę oczyma subiektywisty i zarazem impresjonisty, entuzjastycznego herolda modernizmu.

Grabowski nie ma własnej doktryny, jako krytyk i dzięki temu łatwiej mu zachować obiektywizm. Na areopag sędziów literatury wchodzi bez oficjalnej marki jakiegoś kierunku, nie hołduje jednej szkole, czy pojedynczemu mistrzowi, jest eklektykiem i to mu zapewniła swobodną rękę w stosunku do osób i teorii. Metodę obrał syntetyczną, zawsze przedewszystkiem zabiega o wydobyte rysy indywidualności omawianych krytyków, o pełne uchwycenie znamion ich naukowej osobowości. I to mu się zazwyczaj udaje, mimo zwężności, powiedziałbym nawet rzadkiej ekonomii słowa, a może właśnie dzięki niej. Skupia to, co jest istotnie charakterystycznego.

Nie mając mówczej drobiazgowości Chmielowskiego, ani połotu szczególnej intuicji Feldmana, wyrównuje to skondensowaniem treści, rzetelnie naukową terminologią, dobrą dyscypliną pojęć, nie rozdrabnianiem się na długie cytaty obcych myśli, czy streszczenia. Uczeń Tarnowskiego, oddaje spra-

wiedliwość sponiewieranej szkołce krakowskiej, stosując zasadę „suum cuique”. Rehabilituje Tretiaka, którego łącząc z Tarnowskim, tak postępowali Feldman i Brzozowski.

Bezstronnie wydobywa cienie i światła filologicznej szkoły lwowskiej, czy nacjonalnie jej ojcem — Małeckiego. Wśród tainistów podnosi wyżej mało dziś znanego Kaszewskiego, natomiast Spasowicza traktuje jako zdolnego publicystę. Profil Chmielowskiego jako badacza wypadł nietylko wyraziście, ile przekonywująco. Z mniejszych krytyków wysuwa przesadnie na piedestał Chlebowskiego, który słusznym zdaniem Korbuta był nie historykiem — badaczem literatury, ale raczej pisarzem — popularyzatorem i wychowawcą. Metodą naukową nie mógł się ani zdaleka równać z Chmielowskim.

Z wielką predylekcją omawia Grabowski genezę idei estetycznych modernizmu. Uważanego dotąd za pioniera naturalizmu, Witkiewicza, umieszcza na czele propagatorów nowych prądów indywidualizmu i antyrealizmu. Głównego szermierza modernizmu widzi jednak w Matuszewskim, jako wyraziciela przełomu ku estetyzmowi czystemu. Z przydzieleniem Przybyszewskiego i Boya do grupy idealistów nie można się zgodzić. Gostomskiego umieścilibyśmy w jednym rozdziale z moralistą Zdziechowskim, dodając tu

pominiętego A. Mazanowskiego. U Brzozowskiego trafnie wytyka neomarksistowski punkt widzenia, impresyjność i intuicjonizm. Doskonale charakteryzuje Zdziechowskiego, jako pokrewnego Brunetière'owi.

Słusznie obniża autor Millera i Pomorskiego, zbyt pobłażliwie traktuje Boya. Rozdział o krytyce neofilologicznej ma znaczenie przeważnie tylko subiektywne. Żyjących krytyków obdarzono tu samymi prawie superlatywami, gładkimi i miłymi frazesami bez uzasadnienia rzuconymi. Nie tyczy się to ustępów o Kallenbachu, Windakiewicz, Brucknerze i Kleinerze, które czyta się z satysfakcją. Podkreślenia wymaga ustęp o niedocenianym zwykłe Z. Lempickim.

Naogół biorąc książka Grabowskiego mimo pewnej kapryśności w rozkładzie materiału i innych usterek, dostatecznych dla fachowca, stanowi poważny wkład do naszej literatury naukowej. Owoc to erudycji nieprzeciętnej i pracy długiej, mozolnej. Znać liczenie się z dorobkiem dawniejszych badaczy, ostrożność chwalebna w rewidzjonizmie tak modnym, umiar i rozważę zdania odważnego, przemyślanego. Krytycyzm autora, pomijając zbyt bliską mu współczesność, nie zawodzi go, uprzedzenie nigdy mu sądu nie ma. Może być zadowolony i on i my, czytelnicy, że studja długoletnie nad dziejami naszej krytyki tak pomyślnie doprowadził do końca.

CZESŁAW LECHICKI

Kararyjskie marmury

Kiedy jadąc pociągiem z Genui do Rzymu, w okolicy Sarzana wychylił się z okna wagonu, — ujrzymy po lewej stronie od toru kolejowego majaczące w oddali wyniosłe szczyty górskie.

Niezwykłe to góry: w upalne miesiące letnie lśnią z daleka białym płaszczem śniegu, — a co dziwniejsza, śnieg ten nie leży na szczytach, jakby te się wydawało logicznym, lecz mniej więcej w połowie wysokości, na zboczach długiego łańcucha górskiego.

Nie śnieg to jednak, — lecz marmur. Najpiękniejszy, najczystszy marmur, słynny na całym świecie, — marmur kararyjski. Niewyczerpane pokłady tego marmuru ciągną się niemal przez całą długość Alp apuańskich aż do Pietrasanta.

Częściowo eksploatowali ten marmur już Rzymianie, — z chwilą jednak upadku imperium rzymskiego, słynny już wówczas „marmor Lunense” (nazwany tak od portu Luna, dzisiejsze „Luni”) poszedł zupełnie w zapomnienie.

Dopiero przy budowie katedry w Pizie oraz świątyni w okolicznych miastach wrócono do marmuru kararyjskiego. Zapotrzebowanie tegoż wzrosło ogromnie w wieku XV i XVI, równoległe z rozkwitem włoskiej sztuki rzeźbiarskiej i architektonicznej.

W ostatnich dziesiętnościach lat przemysł kamieniarski doszedł do wielkiego rozwoju. Już przed wojną wywożono z samej Carrary ponad 200 tysięcy ton bloków marmuru rocznie.

Największe i najlepsze kamieniołomy znajdują się w Carrarze, — obok tego wydobywa się marmur w kilku sąsiednich miejscowościach.

Praca w kamieniołomach jest nad wyraz ciężka i niebezpieczna. Zar słońca, brak wody, ostry pył, wciskający się w oczy i w usta, — wszystko to daje się dotkliwie we znaki.

Mimo zastosowania wszystkich nowoczesnych urządzeń technicznych, elektrycznych wiertarek i pil, — znacząco i to najcięższą część pracy wykonują jednak i nadal ręce ludzkie. Praca ta podzielona jest na kilka etapów. Po wywierceniu otworu w twardej skale i założeniu naboju dynamitowego, — robotnik przystępuje do obróbki oderwanych potężnych bloków by nadać im formę symetrycznych kostek. Są to tzw. „pizzicatori” i „riquadatori”, pracujący całym wysiłkiem mięśni wśród białego pyłu unoszącego się dokoła.

Inna, niezwykle, a niebezpieczna funkcję spełniają tzw. „lizzatori”. Zadaniem ich jest załadować ogromne, obrobione już bloki na prymitywne drewniane saneczki, które przewożą je następnie, — na drewnianych również podkładach — do najbliższej linii specjalnej kolejki. Kolejka ta, zwana „Ferro Marmifera”, przedsiębiorstwo prywatne, — przypomina nasze kolejki górskie i służy do przewożenia obrobionych bloków do najbliższego portu, skąd następnie płyną one na wszystkie strony świata.

Podobnie też, jak przy naszych górskich kolejkach, można za specjalnym zezwoleniem — i na własne ryzyko — odbyć tą kolejką podróż, niesłychanie emocjonującą, a ciekawą. Mały pociąg wpada co kilka minut z hukiem w ciemne i chłodne tunele, by za chwilę wynurzyć się znów wyżej, wśród ośleniającej bielej marmurów lśniących w gorących promieniach południowego słońca.

Praca w kamieniołomach Carrary jest prawie dziedziczna: przechodzi z ojców na synów, a każda rodzina ma po niekąd swoją „specjalność”. Jak zaznaczyliśmy, praca to ciężka i wyczerpująca, połączona z licznymi niebezpieczeństwami. Daje ona jednak stały zarobek kilku tysiącom ludzi, stanowiących niejako osobny klan, uważających się za coś nieskończenie wyższego od zwyczajnych „kamieniarzy”.

I nie dziwnego: oni to przecież wydobywają ciężkim trudem i wysiłkiem z łona gór blok tego preczystego marmuru, z których kiedyś powstana, pod dźwięk genialnego rzeźbiarza, wspólnie dzieła sztuki.

(R.)

Historyczna gospoda

Wwęgerskim mieście Miskolcz przystąpiono do przemiany starej gospody pod Trzema Różami na kamienicę czynszową. Tym sposobem znika, a przynajmniej traci swój charakter budowla, z którą połączony jest szereg wspomnień historycznych, wyliczanych obecnie przez gazety.

W obszernym, dwupiętrowym gmachu zjeżdżała się szlachta całego komitatu na bale, a obce dostojne osoby, podróżujące po Węgrzech, zatrzymywały się w nim na wypoczynek. Podczas powstania w r. 1848 mieszkał w nim Kossuth i wyglądał z balkonu płomienne mowy patriotyczne do tłumów, zgromadzonych na ulicy.

Później urządzono pod Trzema Różami bal i ucztę na cześć księcia Walji, późniejszego Edwarda VII z powodu zamianowania go przez cesarza Franciszka Józefa właścicielem 12 pułku huzarów węgierskich.

Ale najgodniejszy pamięci wypadek zaszedł w r. 1881. Epizod, który wówczas rozegrał się w Miskolcz, mógł być wywołany wybuch wojny światowej o 33 lat wcześniej i zmienić mapę Europy inaczej, niż zmieniły ją zapasy lat 1914—18.

Był to okres wielkiego naprężenia

między Austro-Węgrami a Rosją. Podczas wielkich ćwiczeń wojskowych, odbywających się jesienią, Franciszek Józef przybył do Miskolcz i naturalnie zajął najlepszą gospodę. Pewien miejscowy dziennikarz zapragnął za wszelką cenę dostać się do cesarza i zdobyć jakąś sensację dla swej gazety. Przebrał się za kominiarza i straż wpuściła go rzeczywiście do komnaty monarszej. Franciszek Józef nie było, natomiast ktoś ze świty kazał przybyszowi prędko wziąć się do roboty, ażeby skończyć ją, nim powróci. Dziennikarz rad nierad wlaź do ogromnego porcelanowego kominka i udawał, że robi w nim porządek. Przy sposobności znalazł zmięty kawałek papieru. Była to depesza, którą Franciszek Józef miał wysłać do cara, ale po namyśle rzucił do kominka. Zawierała rodzaj ultimatum. Następnego dnia ukazała się w druku w dwóch gazetach, wychodzących w Miskolcz i naturalnie obiegła natychmiast prasę europejską, wywołując ogromne poruszenie. Już dostawcy materiału wojennego radośnie zacierali ręce, ale sprawę w ostatniej chwili załagodzono, a przedsiębiorczy dziennikarz odpokutował swą niedyskrecję kilkuletnim więzieniem.

=X=

=X=